

GĘSTA ATMOSFERA. POCZUJESZ NIE TYLKO STRACH, ALE TEŻ ZAPACH
OREGOŃSKIEGO LASU I ZIMNO CIEMNEJ PIWNICY.

„Entertainment Weekly”

LISA GARDNER ZAGINIONA



NIE wchodź po tych schodach.
NIE otwieraj tych drzwi.
NIE zaglądaj w mrok.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
GONE

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2006
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © 2007, 2014, 2018 by Katarzyna Petecka-Jurek
under exclusive license to „Sonia Draga” Sp. z o.o.,
licensed to Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Korekta: Sabina Raczyńska, Sylwia Kozak-Śmiech

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Dave Wall/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Wtorek, godzina 00.24 czasu Zachodniego Wybrzeża

ZNOWU TEN SEN. NIE chce, żeby jej się śnił. Szarpie pościel, rzuca głową, za wszelką cenę stara się powstrzymać obraz samej siebie przed wejściem na te schody, otwarciem tych drzwi, wkroczeniem w mrok.

Budzi się, tłumiąc cisnący się na usta krzyk. Oczy ma szeroko otwarte z przerażenia i wciąż widzi rzeczy, których nie chce oglądać. Z wolna odzyskuje poczucie rzeczywistości, zaczyna rozróżniać pomalowane na szaro ściany, ciemne zarysy okien, pustą drugą połowę łóżka.

Idzie do łazienki, wkłada głowę pod kran i łapczywie pije haustami letnią wodę. Wciąż słyszy dudniący na zewnątrz deszcz. Ma wrażenie, że odkąd zaczął się listopad, leje bez przerwy, ale może tylko tak jej się wydaje.

Wchodzi do kuchni. List wciąż leży na stole. Upłynęło już siedem dni i w końcu przestała go czytać, ale nie ma siły go wyrzucić.

Przegląd zawartości lodówki: jogurt, tuńczyk, ananas, jajka. Bierze jajka, zaraz jednak orientuje się, że ich termin przydatności do spożycia minął dwa tygodnie temu.

Chrzanić to! Wraca do łóżka.

Ten sam sen, te same obrazy, ten sam dobywający się z głębi wnętrza krzyk.

Zegar wybija pierwszą w nocy. Wstaje na dobre. Bierze prysznic, wygrzebuje czyste ubranie, spogląda na swoje umęczone odbicie w lustrze.

– Jak się pisze „spieprzyłaś”? R-A-I-N-I-E.

Wychodzi, żeby pojeździć samochodem.

Wtorek, godzina 2.07 czasu Zachodniego Wybrzeża

– DZIECKO PŁACZE – wymamrotał.

– Obudź się.

– Mmm, kochanie, twoja kolej zająć się dzieckiem.

– Carl, na miłość boską! To telefon, nie dziecko, w dodatku do ciebie. Odbierz.

Żona Carltona Kincaida, Tina, trąciła go łokciem w żebra. Rzuciła mu telefon i otuliła się z powrotem kołdrą, naciągając ją na głowę w kolorze mokki. Środek nocy nigdy nie był jej ulubioną porą.

Kincaid również nie przepadał za tą częścią doby. Jako detektyw sierżant z wydziału dochodzeniowego policji stanowej Oregonu w Portlandzie powinien być przygotowany na tego typu sytuacje. I rozmawiać inteligentnie. Najlepiej zdecydowanym głosem. Tylko że niemal od ośmiu miesięcy nie udało mu się porządnie przespać ani jednej nocy. Spojrzał ponuro na telefon, mając nadzieję, że nie budzą go z powodu jakichś dupereli.

Usiadł prosto i wysilił się, by jego głos zabrzmiał rześko.

– Słucham.

Z drugiej strony zgłosił się policjant z wozu patrolowego. Został wezwany przez miejscowego szeryfa na boczną wiejską drogę w hrabstwie Tillamook, gdzie stał porzucony samochód. Jak dotąd nie udało się odnaleźć jego właściciela.

Kincaid miał jedno pytanie:

– Czy samochód jest na terenie publicznym czy prywatnym?

– Nie wiem.

– Dowiedz się więc, bo jeśli na prywatnym, potrzebna będzie zgoda na przeszukanie. Będziesz się także musiał skontaktować z miejscowym biurem prokuratora w sprawie nakazu przeszukania samochodu. Dzwoni do prokuratora, zabezpiecz miejsce, a ja przyjadę za... – Kincaid rzucił okiem na zegarek – pięćdziesiąt pięć minut.

– Tak jest.

Policjant się rozłączył. Kincaid wstał z łóżka. Pracował w policji stanowej od dwunastu lat. Zaczął jako zwykły posterunkowy, jakiś czas spędził w oddziale zwalczania przestępczości zorganizowanej, wreszcie przeniósł się do wydziału dochodzeniowego. W tym czasie zdążył się dorobić pięknej żony, wielkiego czarnego kundla, a osiem miesięcy temu urodził mu się zdrowy i pełen werwy synek. Życie toczyło się tak, jak sobie zaplanował, pod warunkiem że częścią tego planu było to, że od ponad pół roku ani on, ani jego żona nie zdołali się porządnie wyspać czy normalnie zjeść.

Dzieci nie dają chwili wytchnienia. Podobnie jak wydział dochodzeniowy.

Słyszał deszcz spływający falami po dachu. Wyjątkowo paskudna noc na eskapady. W bagażniku samochodu stałe trzymał dwie zmiany ubrania. W taką noc jak ta wystarczą mu na pierwsze pół godziny. Cholera. Popatrzył tęsknie na łóżko i pożałował, że to jednak nie płacz dziecka go obudził.

Działając jak na włączonym autopilocie, przekopał szafę i zaczął się ubierać. Zapinał właśnie koszulę, kiedy żona westchnęła i usiadła.

– Złe wieści? – spytała cicho.

- Nie wiem. Porzucony samochód w Bakersville.
- Kochanie, co ty masz z tym wspólnego?
- Drzwi od strony kierowcy są otwarte, silnik wciąż na chodzie, a na siedzeniu pasażera leży torebka.

Uniosła brwi.

– Dziwne.

– Właśnie.

– Kochanie, nie znoszę dziwnych spraw.

Kincaid włożył kurtkę, podszedł do żony i pocałował ją mocno w policzek.

– Idź spać, dziecinko. Kocham cię.

Wtorek, godzina 1.14 czasu Zachodniego Wybrzeża

KOMPLETNIE NIC NIE WIDZI. Wycieraczki pracują pełną mocą, omiatając gwałtownie przednią szybę, co i tak niczego nie zmienia. Deszcz pada i pada, i pada. Zakręt na drodze. Wchodzi w niego nieco za późno i natychmiast wylatuje na pobocze.

Ciężko dyszy. Dostała czkawki. Czyżby płakała? Trudno powiedzieć, ale cieszy się, że jest sama w ciemnościach.

Naciskając wolno pedał gazu, ostrożnie wycofuje się na drogę. Jazda późną nocą ma swoje dobre strony. Przynajmniej nikt inny nie ucierpi z powodu jej błędów.

Nawet się nad tym nie zastanawiając, wie dobrze, dokąd zmierza. Gdyby o tym myślała, byłaby to świadoma decyzja, co stanowiłoby tylko potwierdzenie tego, że ma problem. Znacznie prościej jest zdać sobie sprawę, że oto zatrzymuje się na parkingu przy Toasted Lab Tavern. Na zwirowym podejździe stoi kilka innych samochodów, głównie duże pick-upy.

Zagorzali pijacy, przemryka jej przez myśl. Tylko tacy decydują się na opuszczenie domu w taką noc.

Co ona tu robi?

Siedzi w samochodzie z rękami zaciśniętymi na kierownicy. Czuje, że zaczyna drżeć na całym ciele. Do ust napływa jej ślina. Nie może się już doczekać, kiedy pociągnie pierwszy potężny łyk zimnego piwa.

Przez chwilę wisi nad przepaścią.

Wracaj do domu, Rainie. Połóż się do łóżka, pooglądaj telewizję, poczytaj książkę. Zrób coś – cokolwiek, byle nie to.

Drży coraz bardziej; jej pochylonym nad kierownicą ciałem wstrząsają konwulsje.

Jeżeli pojedzie do domu, zaśnie. A jeżeli zaśnie...

NIE wchodzi po tych schodach. NIE otwieraj tych drzwi. NIE zaglądaj w mrok.

Wypełnia ją taka ciemność. Pragnie być prawdziwym człowiekiem. Chce być silna, rezolutna i przy zdrowych zmysłach. Przeważnie jednak czuje, jak ciemność wpelza jej do głowy. To się zaczęło przed czterema miesiącami, kiedy pierwsze macki wślizgnęły się do zakamarków jej umysłu. Teraz zawładnęły nią całą. Wpadła w otchłań, do której nie dociera światło.

Rainie słyszy jakiś hałas.

Unosi głowę.

W strugach ulewnego deszczu dostrzega niewyraźnie rysującą się wielką sylwetkę. Nie krzyczy. Chwyta za broń.

Pijany kowboj, zataczając się, mija jej samochód, nieświadomy, jak niewiele brakowało, żeby mu odstrzeliła tyłek.

Rainie odkłada glocka na siedzenie pasażera. Już nie drży. Oczy ma szeroko otwarte. Twarz ponurą. Dopadło ją zimne szaleństwo, które jest o wiele, wiele gorsze.

Wrzuca bieg i rusza w noc.

Wtorek, godzina 3.35 czasu Zachodniego Wybrzeża

BAKERSVILLE W STANIE OREGON, małe przybrzeżne miasteczko w samym środku hrabstwa Tillamook, przycupnęło w cieniu wysokiego nadbrzeżnego pasma górskiego biegnącego przez hrabstwo. Okolica charakteryzowała się głównie porośniętymi bujną zielenią bezkresnymi farmami mlecznymi, ciągnącymi się na wiele kilometrów kamienistymi plażami i – przynajmniej z punktu widzenia policji – stale rosnącym problemem nadużywania metamfetaminy. Całkiem niezłe miejsce dla amatorów knajp i sera. Dla kogoś, kto za tym nie przepadał, niewiele było tu do roboty, o czym najlepiej wiedziały miejscowe dzieciaki.

Dojazd do Bakersville powinien był zająć Kincaidowi pięćdziesiąt minut. Jednak w taką noc jak ta, gdy przy zerowej widoczności musiał pokonywać śliskie górskie przełęcze i przedzierać się przez zasłonę deszczu, przebył trasę w godzinę i piętnaście minut. Zatrzymał się przy oświetlonym miejscu, już wykończony.

Ucieszyło go, że ci, którzy zjawili się przy porzuconym samochodzie jako pierwsi, wywiązali się z zadania. Nocne ciemności rozjaśniały trzy ustawione w strategicznych punktach reflektory – potężne strumienie światła przebijały się przez strugi deszczu. Żółta policyjna taśma ogradzała całkiem pokaźny teren; wokół już zaczynały się gromadzić pojazdy.

Kincaid zauważył wozy zastępcy szeryfa oraz samego szeryfa. Obok zatrzymał się potężny czarny SUV – jak można było przypuszczać, należący do biura prokuratora okręgowego hrabstwa Tillamook. Jeżeli uznają, że trzeba przeprowadzić dochodzenie na szeroką skalę, będą potrzebowali więcej ludzi, kryminalistyków i specjalistów od daktyloskopii, ale to on zadecyduje, czy ich ściągnąć.

Od pierwszego wezwania minęła godzina i czterdzieści

minut, a oni wciąż jeszcze nie wiedzieli podstawowej rzeczy: została popełniona zbrodnia czy też nie? Większość podatników sądziła zapewne, że w takich sytuacjach policja od razu działa z rozmachem. Zawiadamia się laboratorium kryminalistyki, wzywa Gwardię Narodową i helikoptery. I ci sami podatnicy bez przerwy obcinali budżet policji stanu Oregon – w rezultacie Kincaid miał w tej chwili na etacie trzech i pół detektywa zamiast czternastu, jak było na początku. W prawdziwym świecie policyjna robota zaczynała się od liczenia każdego dolara. Trudno powiedzieć, czy to lepiej, czy też raczej gorzej, w każdym razie musiał oszczędzać na każdym kroku.

Kincaid stanął za monstrualnie wielkim czarnym chevroletem tahoe i wyłączył silnik. Nie dało się go ominąć. Otworzył drzwi, by wysiąść, i znalazł się w świecie dotkniętym klęską potopu.

Deszcz runął na niego z ogromną siłą. Kincaid musiał więc na chwilę przystanąć, by odzyskać równowagę i stawić czoło jego naporowi. Włosy zdążyły mu całkowicie zmoknąć, strugi wody ściekały za kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego, najgorsze więc miał już za sobą. Nie musiał się martwić, że zmoknie czy pobrudzi się błotem – to już się stało.

Podszedł szybko do bagażnika swojego chevroleta impali, wyjął wielki plastikowy pojemnik ze wszystkim, z czego korzystał podczas badania miejsca zbrodni, i zanurkował pod żółtą taśmą.

Zbliżał się funkcjonariusz Blaney, wielkimi czarnymi buciorami rozpryskując błoto. Porządny gość; miał na sobie pełny, zgodny z regulaminem strój przeciwdeszczowy: czarno-niebieską kurtkę policyjną, która wyglądała jak zniszczona kurtka motocyklisty. Nikt za nimi nie przepadał. Kincaid trzymał swoją upchniętą w bagażniku i rzadko ją zakładał – tylko wtedy, gdy w pobliżu kręcili się dziennikarze

albo przełożony.

Blaney musiał przebywać na deszczu od jakiegoś czasu: w świetle reflektorów jego kurtka wydawała się gładka jak szkło, a pod szerokim rondem kapelusza woda spływała strumyczkami po jego twarzy z kwadratową szczęką i skapywała z czubka nosa. Wyciągnął rękę i Kincaid odwzajemnił gest.

– Witam.

– Dzień dobry, sierżancie.

W ślad za Blaneyem nadeszli szeryf i jego zastępca. Blaney dokonał prezentacji i cała czwórka zbiła się jak najciaśniej, tworząc szczękającą zębami, przemokniętą do suchej nitki grupkę. Stali z rękami przyciśniętymi do boków, żeby zatrzymać jak najwięcej ciepła.

Na miejscu jako pierwszy pojawił się zastępca szeryfa, Dan Mitchell. Był młody, wychowany na farmie, ale starał się, jak mógł. Nie spodobało mu się to, co zobaczył – otwarte drzwi, włączone światła, uruchomiony silnik. Uznał, że trochę to za bardzo w stylu Hollywoodu, dlatego też wezwał szeryf Atkins. Chociaż nie była zbyt zadowolona, że musi w taką noc wstać z łóżka, mimo wszystko przyjechała.

Kincaid zdziwił się, że szeryfem okazała się kobieta o zdecydowanym uścisku dłoni i twardym spojrzeniu. Shelly, bo tak miała na imię, najwyraźniej nie miała ochoty niczego owijać w bawełnę.

– Słuchajcie – nie patyczkując się, przerwała energiczną tyradę zastępcy. – Tom czeka. – Ruchem głowy wskazała prokuratora, który jak Kincaid zauważył, siedział skulony w SUV-ie. – Mamy nakaz przeszukania pojazdu i zgodnie z poleceniem pańskiego człowieka sprawdziliśmy, czy to jest teren publiczny. Nie mam, do cholery, zielonego pojęcia, co się tutaj stało, ale ktoś w pośpiechu opuścił samochód, co mi się wcale nie podoba. Bierzmy się więc do roboty, bo za

chwilę zostanie nam tylko kupa przemoczonych policyjnych raportów.

Trudno było się z nią spierać, wobec czego cała grupka przeszła w stronę porzuconego auta. Ostrożnie zbliżyli się do otwartych drzwi.

Była to nowa toyota camry, biała z niebieską tapicerką. Ładna, ale nic wyjątkowego. Kierowca zaparkował ją starannie, świadomie starając się nie blokować drogi. Na lewo od drzwi kierowcy biegła kręta leśna ścieżka. Na prawo rozciągała się stroma skarpa, po której można było się wspiąć do gęstego lasu.

Zgodnie z raportem telefonicznym policjanta drzwi kierowcy były szeroko otwarte, ich krawędź wspierała się o urwisko. Kincaid pomyślał od razu, że zazwyczaj ludzie nie otwierają drzwi aż tak szeroko. Chyba że mają wyjątkowo długie nogi lub gdy coś wkładają czy wyjmują.

Trzeba się nad tym zastanowić.

Z miejsca, w którym stał, widział brązową skórzaną torebkę leżącą na siedzeniu pasażera.

– Sprawdziliście torebkę? – spytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Podniosłem ją – odparł zastępca Mitchell obronnym tonem. – Żeby sprawdzić tożsamość. Zdziwiłem się, kiedy znalazłem samochód z uruchomionym silnikiem, włączonymi światłami i szeroko otwartymi drzwiami. Musiałem od czegoś zacząć.

– Znalazłeś portfel?

– Nie. Ale otworzyłem schowek i znalazłem dowód rejestracyjny. Odczytałem z niego nazwisko.

– Torebka była pusta?

– Nie. Było w niej pełno różnych rzeczy: kosmetyki, długopisy, palmtop i takie tam. Ale portfela nie znalazłem.

Odłożyłem torebkę dokładnie w to miejsce, gdzie ją znalazłem. Przysięgam na Boga, że niczego poza tym nie ruszałem.

– Z wyjątkiem schowka – rzucił Kincaid.

Zastępca miał rację – od czegoś trzeba było zacząć.

Należało wyłączyć silnik; zrobił to funkcjonariusz Blaney, żeby oszczędzić paliwo. Zawsze dobrze jest sprawdzić, ile go zostało w porzuconym samochodzie. Silnik pracował bez zakłóceń, kiedy zjawił się zastępca Mitchell, i na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, by opony były uszkodzone. Należało więc wykluczyć, że kierowca zatrzymał się z powodu jakichś kłopotów technicznych.

Kincaid przeszedł na tył toyoty, żeby się przyjrzeć zderzakowi. Żadnych wgnieceń czy zadrapań, chociaż z powodu deszczu nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością. Spróbował znaleźć ślady innych opon lub odciski butów. Padający bez ustanku deszcz zniszczył wszystkie ewentualne ślady, pozostawiając jedynie płytkie kałuże błotnistej wody. Ostrzeżenie szeryf Atkins było uzasadnione; niestety, nie na wiele się zdało.

Zajrzał do wnętrza samochodu, uważając, by niczego nie dotknąć.

– Samochód należy do kobiety? – spytał.

– Według dowodu rejestracyjnego – pośpieszył z odpowiedzią funkcjonariusz Blaney – to Lorraine Conner z Bakersville. Szeryf Atkins posłała tam zastępcę. W domu nikogo nie było.

– Mamy rysopis?

– Z danych wydziału komunikacji wynika, że mierzy metr sześćdziesiąt pięć, waży sześćdziesiąt kilogramów, ma brązowe włosy i niebieskie oczy.

Kincaid spojrzał na szeryf Atkins.

– Metr sześćdziesiąt – poprawiła Blaneya. – Nie chciałam

niczego dotykać, ale na pierwszy rzut oka z ustawienia fotela wynika, że tak właśnie jest.

Kincaid sądził podobnie. Siedzenie było stosunkowo blisko kierownicy, mniej więcej tak, jak się spodziewał. Naturalnie musiał jeszcze sprawdzić lusterka i kolumnę kierownicy, ale z tym trzeba było poczekać, aż kryminaliści uporają się ze swoją robotą. Według Blaneya bak był w połowie pełny, kiedy wyłączał silnik. Będą musieli sprawdzić okoliczne stacje benzynowe, ale wszystko wskazywało na to, że Lorraine w ostatnich dniach nie tankowała.

Kincaid wyprostował się, mrużąc oczy przed padającym deszczem, gdy tymczasem jego umysł zaczynał pracować na pełnych obrotach.

Przez pierwsze trzy lata pełnił służbę na wybrzeżu. Zawsze go dziwiło, jak wiele jego spraw zaczynało się od znalezienia porzuconych samochodów. Ocean zdawał się przyciągać ludzi, przemawiać do nich po raz ostatni. Jechali więc na wybrzeże, by jeszcze raz obejrzeć piękny zachód słońca. Potem zamykali samochód, szli do lasu i strzelali sobie w łeb.

Przez te wszystkie lata nie zdarzyło mu się jednak nic podobnego – nigdy nie znalazł samochodu porzuconego w ten sposób, z uruchomionym silnikiem, pracującymi wycieraczkami i włączonymi światłami.

Zastępca szeryfa Mitchell miał słuszość. To wszystko było za bardzo w hollywoodzkim stylu. Coś tu nie grało.

– W porządku – powiedział Kincaid. – Przeszukajmy bagażnik.

Wtorek, godzina 1.45 czasu Zachodniego Wybrzeża

PRZESTAŁA UWAŻAĆ. WIE, ŻE nie należy tego robić. Swego czasu,

kiedy pracowała w biurze szeryfa w małym miasteczku, Bóg jej świadkiem, że nieraz miała okazję przekonać się na własne oczy, co się dzieje, kiedy kierowca odwróci wzrok od drogi choćby na sekundę.

Była jednak taka zmęczona. Od jak dawna nie spała? Minęły godziny, dni czy całe miesiące? Zmęczenie upośledziło jej zdolności motoryczne. Pamięć krótkotrwała przestała funkcjonować. Próbuje sobie przypomnieć, co robiła wczoraj, ale rzeczy, jakie stają jej przed oczami, równie dobrze mogły się wydarzyć przed tygodniem. Straciła poczucie czasu. Jej życie zawisło w próżni.

Wycieraczki pracują rytmicznie. Deszcz wali o dach samochodu. Światło reflektorów przecina ciemność.

Kiedy była młodsza, miała czternaście, może piętnaście lat, zanim jej matka została zastrzelona, chodziła z chłopakiem, który uwielbiał włóczyć się w takie noce jak dzisiejsza. Znajdowali jakąś boczną drogę, wyłączali światła i mknęli w ciemność.

„Juuu-huuu!”, dał się, po czym pociągał tęk wild turkey.

Później pieprzyli się jak króliki na tylnym siedzeniu, w oparach whiskey, spoceni, pośród zużytych kondomów.

Na wspomnienie tamtych dni Rainie odczuwa ból. Ma wrażenie, że upłynęły całe wieki, odkąd czuła się młoda, dzika i wolna. Od dawna już nie miała odwagi jeździć bez świateł w całkowitych ciemnościach.

Nagle jej myśli wracają do miejsca, w którym nie chce się znaleźć.

Przed oczami staje jej Quincy. Przypomina sobie, kiedy pierwszy raz byli razem. Jak delikatnie jej wtedy dotykał. I jak tulił ją po wszystkim.

„Rainie – zapewniał ją cichym głosem – radość życia to nic złego”.

A teraz cierpi. Cierpi niewyobrażalnie, nie potrafi złapać tchu. Minęło siedem dni, a ona wciąż się czuje, jakby ktoś ją uderzył

w splot słoneczny. Jej usta poruszają się, ale nie wnika do nich powietrze.

Droga skręca. Ona jest zbyt rozkojarzona, by w porę zareagować. Koła buksują, hamulce zgrzytają. Samochód zaczyna się obracać i Rainie wypuszcza kierownicę z rąk. Zdejmuje nogę z pedału gazu. Poddaje się rozwojowi wypadków, w pojedynkę odgrywając rolę z filmu Thelma i Louise, nie mogąc się doczekać, kiedy zanurkuje w Wielkim Kanionie, z ulgą przyjmując nieuchronny koniec.

Samochód zjeżdża na bok, po chwili wraca na środek. Góry biorą stare instynkty – z czasów, gdy była doświadczoną, zdolną policjantką. Chwyta kierownicę. Wychodzi z poślizgu. Ostrożnie naciska hamulec i wolno zjeżdża na pobocze.

I wtedy dopada ją załamanie nerwowe. Opiera czoło o kierownicę i zaczyna chlipać jak dziecko, kuli ramiona, krztusi się, cieknie jej z nosa.

Płacze i płacze, i płacze, jej myśli wracają do Quincy'ego, przypomina sobie, jak przytulona policzkiem do jego piersi słyszała bicie jego serca, i znowu zaczyna szlochać. Tym razem jednak nie smutek wywołuje jej łzy, lecz przemożna, wszechogarniająca wściekłość.

Czemu to dla niej takie trudne? Czemu nie może po prostu ustąpić?

I znowu powraca tamten widok. Schody wiodące na ganek, otwierające się drzwi, wabiący mrok...

Rainie instynktownie sięga po broń. Będzie walczyć, atakować, strzelać... ale z kim, do kogo? Spotkała już wroga – jest nim ona sama. Świadomość tego w szalony sposób od nowa wzbudza w niej nienawiść do Quincy'ego. Bo gdyby jej nigdy nie kochał, nie dowiedziałyby się, co utraciła.

Jej palce pieszczą glocka. Przez ułamek sekundy kusi ją...

Pukanie w okno.

Gwałtownie podnosi głowę.

I cały świat wybucha osłepiającym białym światłem.

Wtorek, godzina 3.49 czasu Zachodniego Wybrzeża

Do MITCHELLA w pierwszej chwili nie dotarło, co oznacza zawartość bagażnika. Kincaid widział, jak zastępca szeryfa powoli zaczynał pojmować, a jego twarz przybierała wszystkie odcienie zieleni.

– Co, do diabła... – Zastępca, potykając się, cofnął się i uniósł rękę, jakby chciał się odgrodzić od tego, co widzi.

Kincaid ostrożnie sięgnął po pierwsze zdjęcie. Jego spojrzenie pobiegło ku szeryf Atkins.

– Nie znasz nazwiska?

– Nie, jestem tu dopiero od miesiąca. To naprawdę to, co myślę?

– O tak.

– Słodki Jezu. – Wpatrywała się w porzucony samochód.

– To się nie może dobrze skończyć, prawda?

– Mało prawdopodobne.

Kincaid wyjął telefon i zadzwonił.

Rozdział 2

Wtorek, godzina 4.05 czasu Zachodniego Wybrzeża

NA ZEWNĄTRZ ROZLEGŁ SIĘ grzmot.

Quincy obudził się za szybko. Zaparło mu dech i kurczowo chwycił rękami materac, szykując się do przyjęcia ciosu. W następnej chwili przetoczył się gładko na bok i wstał z łóżka.

Dyszał ciężko. Musiał się zmusić, by spojrzeć na tapetę w gęsty kwiatowy wzór, przypomnieć sobie, gdzie jest i skąd się tu wziął. Wnioski, jakie wyciągnął, odebrały mu resztki woli walki. Ramiona mu opadły. Pochylił głowę. Oparł się ciężko o okno i wpatrywał w strugi deszczu spływające ukośnie po szybie.

Minęło siedem dni, odkąd zamieszkał w tym miłym pensjonacie; o siedem dni za dużo. Przynajmniej właścicielka była miła. Ani słowem nie skomentowała, że samotny mężczyzna wynajął pokój w pensjonacie przeznaczonym dla kochanków. O nic nie pytała, gdy co rano prosił cicho, żeby przedłużyła rezerwację o kolejny dzień.

Dokąd to wszystko prowadzi? Jak się skończy? Naprawdę nie miał pojęcia. Ta świadomość go męczyła. Po raz pierwszy w życiu poczuł się bardzo, bardzo stary.

Miał pięćdziesiąt trzy lata i znajdował się na tym etapie życia, w którym jego włosy zaczynały być bardziej siwe niż

ciemnobrązowe, kurze łapki w kącikach oczu coraz głębsze i stawał się raczej dystyngowany niż przystojny. Nadal cztery razy w tygodniu przebiegał dystans dwudziestu kilometrów. Wciąż co miesiąc odbywał trening na strzelnicy. Dwukrotnie w życiu miał bliski kontakt z prawdziwymi drapieżnikami i wcale nie miał zamiaru stać się mięczakiem wyłącznie dlatego, że przekroczył pięćdziesiątkę.

Nie należał do łatwych ludzi, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Był zbyt inteligentny i za dużo czasu spędzał na zgłębianiu tajników swojego umysłu. Jego matka zmarła młodo, a ojciec nigdy nie należał do specjalnie rozmownych. Były okresy w jego życiu, kiedy całe lata mijały mu w milczeniu. Chłopiec wychowujący się w takich warunkach musiał wyrosnąć na szczególnego człowieka.

W szeregi stróżów prawa wstąpił pod wpływem impulsu, zaczynając pracę w chicagowskiej policji. Gdy się okazało, że ma wrodzony talent do zgłębiania chorych umysłów, przeszedł do FBI jako psycholog kryminalny. Pokonywał tysiące kilometrów, pracując nad setką spraw rocznie, wędrując od motelu do motelu i zawsze stykając się ze śmiercią.

Wówczas opuściła go pierwsza żona – jego dwie córki dorastały bez ojca. Pewnego dnia rozejrzał się wokół siebie i dostrzegł, że poświęcając tyle zmarłym, sobie nie zostawił nic.

Zdecydował się na przeniesienie i zaczął zajmować wewnętrznymi sprawami biura; starał się więcej czasu spędzać w domu z dziewczynkami. Próbował nawet choć w części uratować związek z byłą żoną, Bethie.

Może coś mu się udało. Trudno powiedzieć. Miał wrażenie, że zdążył zaledwie mrugnąć, gdy zadzwoniła do niego Bethie. Zdarzył się wypadek samochodowy. Mandy jest w szpitalu. Proszę, przyjeźdź jak najszybciej...

Jego starsza córka nigdy nie odzyskała przytomności.

Pochowali ją niedługo po jej dwudziestych czwartych urodzinach, po czym Quincy wrócił do gabinetu bez okien w Quantico i zdjęć ofiar zabójstw.

To był najcięższy rok w jego życiu. Jeszcze gorsza stała się świadomość, że Mandy ktoś zamordował i że teraz ta sama osoba prześladuje Bethie oraz ich młodszą córkę, Kimberly. Szybko przystąpił do działania, jednak jak się okazało, nie dość szybko. Morderca dopadł najpierw Bethie i być może udałoby mu się zabić również Kimberly, gdyby nie Rainie.

Tego dnia Rainie walczyła. Walczyła o Kimberly, walczyła o siebie i walczyła dla samej walki, ponieważ tak robiła zawsze, takim była człowiekiem, a Quincy nigdy wcześniej nikogo takiego nie spotkał.

Taką Rainie pokochał. Kochał jej duże usta, jej przemądrzałość, wybuchowy charakter. Kochał sposób, w jaki stawiała mu wyzwania, prowokowała go, doprowadzała do czystej furii.

Była twarda, niezależna, cyniczna i bystra. Ale była też jedyną kobietą w jego życiu, która go rozumiała. Która wiedziała, że w głębi serca był optymistą i za wszelką cenę starał się doszukać dobra w świecie przynoszącym tyle zła. Która wiedziała, że Quincy tak naprawdę nie jest w stanie zrezygnować z pracy, bo jeżeli ludzie tacy jak on nie będą robili tego, co robią, kto zajmie ich miejsce? Która wiedziała, że szczerze ją kocha, nawet gdy wydawał się zamknięty w sobie i odległy; po prostu nie potrafił wyrazić słowami uczuć, które najmocniej nim targały.

Kiedy wreszcie dwa lata temu się pobrali, uznał, że rozpoczął się nowy – szczęśliwszy – rozdział w jego życiu. Kimberly skończyła Akademię FBI i świetnie sobie radziła jako agentka w biurze w Atlancie. Rozmawiali ze sobą, może nie tyle, ile inni ojcowie z córkami, ale przynajmniej tak często

i szczerze, że nawzajem zaspokajali swoje potrzeby.

Quincy zrobił również coś, zdawałoby się, nie do pomyślenia – przeszedł na emeryturę. No, przynajmniej częściowo. Na tyle, na ile było stać takiego człowieka jak on.

Teraz pracowali z Rainie tylko nad kilkoma sprawami, świadcząc usługi policji i FBI jako prywatni konsultanci. Przeprowadzili się do Oregonu, ponieważ Rainie tak bardzo tęskniła za górami, że tylko tam czuła się jak w domu. A nawet zaczęli myśleć o adopcji dziecka.

Trudno sobie wyobrazić, by mężczyzna w jego wieku znowu został ojcem. Mimo wszystko zdecydował się na ten krok.

Przez trzy tygodnie, zanim pocztą przyszło zdjęcie, cieszył się na myśl o tym.

I wtedy zadzwonił telefon.

Wówczas po raz drugi życie Quincy'ego rozpadło się na kawałki.

Chyba powinien zacząć szukać mieszkania.

Może jutro, pomyślał, choć wiedział, że tego nie zrobi. Nawet mędrzec staje się głupcem w obliczu miłości.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Na progu stała właścicielka pensjonatu, wyraźnie zdenerwowana. Powiedziała, że na dole czeka policjant i o niego pyta. Twierdzi, że to pilne. Musi z nim natychmiast porozmawiać.

Quincy nie był zaskoczony.

Dawno temu przekonał się, że sprawy zawsze mogą przybrać zły obrót.

Wtorek, godzina 4.20 czasu Zachodniego Wybrzeża

KINCAID ZNALAZŁ WZGLĘDNE schronienie wewnątrz swojego

samochodu, włączył ogrzewanie i zaczął dzwonić z komórki.

Najpierw do dowodzącego w biurze FBI w Portlandzie agenta specjalnego. W zasadzie nie należało budzić federalnego w środku nocy, ale sierżant nie miał wyboru. W bagażniku porzuconego samochodu znaleziono nadzwyczaj niepokojące rzeczy – zdjęcia wypatroszonego ciała kobiety, wszystkie opatrzone napisem: *Własność FBI*.

Udało mu się dodzwonić do Jacka Hughesa za pierwszym razem. Agent potwierdził, że Lorraine Conner była prywatną śledczą, a w przeszłości pracowała dla terenowego biura w Portlandzie jako konsultantka. O ile się orientował, obecnie nie zajmowała się żadną sprawą, ale może współpracowała z innym biurem. Hughes podał nazwisko partnera Conner, poprosił, by na bieżąco go informować, ziewnął kilka razy i z ulgą wrócił do miłego, ciepłego łóżka.

Następne dwie rozmowy niewiele przyniosły Kincaidowi. Udało mu się dodzwonić do kierowniczkii laboratorium kryminalistyki, Mary Senate. Opowiedział jej o tym, co znaleźli. Oświadczyła, że przy tak fatalnej pogodzie, gdy wszystko tonie w deszczu, nie warto wysłać technika. Porozmawiają znowu, kiedy samochód znajdzie się w suchym, bezpiecznym miejscu. Po czym wróciła do łóżka. Kincaid dodzwonił się też do pracowni daktyloskopii, gdzie otrzymał podobną odpowiedź – nie da się zdjąć odcisków z mokrego samochodu, więc odezwijcie się, kiedy wyschnie. Dobranoc.

Przemoczony do suchej nitki, został sam, rozmyślając, czemu nie został księgowym, jak jego ojciec.

Wysiadł z samochodu i natknął się na szeryf Atkins, która skierowała ludzi do przeszukiwania zarośli. Na nieszczęście deszcz wciąż lał jak z cebra, a widoczność była bliska zeru. Jednak chociaż był listopad, temperatura nie spadła poniżej dziesięciu stopni. Było zimno, zwłaszcza jeżeli się kompletnie

przemokło, ale przynajmniej nie zagrażało to niczyjemu życiu.

Zakładając, że Lorraine Conner błąkała się gdzieś po lesie.

Co w taką noc skłoniło kobietę do opuszczenia samochodu? Zwłaszcza doświadczoną policjantkę, na ciemnej, bezludnej i bez wątpienia niebezpiecznej drodze? Kincaidowi przychodziły na myśl różne odpowiedzi, ale żadna nie była zadowalająca.

Zadzwoił do firmy holowniczej. Skoro kryminalistycy życzyli sobie, by samochód znalazł się w suchym i bezpiecznym miejscu, należało w miarę szybko spełnić ich żądanie.

Przyjechała laweta. Kierowca wysiadł i na widok rozmokego blocka wokół porzuconego auta pokręcił tylko głową. Pojazd kompletnie ugrzązł. Gdyby próbowali go wyciągnąć, błoto rozbryznęłoby się na wszystkie strony, niszcząc te nieliczne ślady, które być może jeszcze się zachowały.

Samochodu nie można było ruszyć przez co najmniej kilka następnych godzin.

Kincaid zaklął, wściekły pokręcił głową i nagle wpadł na genialny pomysł. Znalazł miejscowego szeryfa i kazał mu natychmiast przywieźć z domu namiot. Pół godziny później nad samochodem i wokół niego wznosiło się prowizoryczne zadaszenie. Wszystkie widoczne dowody i tak już dawno zdążyły ulec zniszczeniu, ale do licha, warto było przynajmniej spróbować. Poza tym pod osłoną mógł w końcu zabrać się do pracy.

Zaczął robić zdjęcia aparatem cyfrowym. Właśnie się uporał z połową pojazdu, kiedy wrócił funkcjonariusz Blaney, a za nim przyjechał kolejny samochód.

Sierżant przyglądał się, jak mężczyzna parkuje za wozem patrolowym Blaneya i wysiada. Płaszcz marki London Fog, który miał na sobie, zapewne kosztował połowę pensji Kincaida. Drogie buty. Spodnie idealnie zaprasowane w kant.

A więc to był Pierce Quincy. Dawny psycholog kryminalny FBI. Mąż Lorraine Conner. Człowiek, którym niewątpliwie należy się zainteresować. Kincaid przyglądał mu się długo i dokładnie.

Quincy podszedł do niego, nie tracąc czasu.

– Sierżancie Kincaid. – Mężczyzna wyciągnął rękę. Kompletnie mokre włosy kleiły mu się do czaszki.

– Zapewne pan Quincy.

Przywitali się. Kincaid zauważył, że psycholog ma zdecydowany uścisk dłoni, szczupłą twarz i niemal krystalicznie błękitne oczy. Twardy facet. Przyzwyczajony do panowania nad sytuacją.

– Co się stało? Gdzie jest moja żona? Chciałbym zobaczyć Rainie.

Kincaid tylko skinął głową i kołyszając się na piętach, nie przerywał obserwacji. To była jego impreza. Lepiej ustalić to od razu i obu im zaoszczędzić niepotrzebnej nerwówki.

– Ładny płaszcz – odezwał się w końcu.

– Sierżancie...

– Buty też niezłe. Trochę dużo tu błota, nie sądzi pan?

– Błoto można zmyć. Gdzie jest moja żona?

– Coś panu powiem. Pan odpowie na moje pytania, potem ja odpowiem na pańskie. Może być?

– Mam jakiś wybór?

– Prawdę mówiąc, ja tu rządzę, więc nie ma pan.

Quincy zacisnął usta, ale nie protestował. Kincaid pozwolił sobie na krótki moment triumfu. Punkt dla stanowego policjanta.

– Kiedy widział pan żonę po raz ostatni?

– Siedem dni temu.

– Wyjeżdżał pan z miasta?

– Nie.

– Nie pracujecie razem?

– W tej chwili nie.

– Mieszkacie razem?

Na szczęście Quincy'ego drgnął mięsień.

– Nie w tej chwili.

Kincaid przechylił głowę.

– Nie układa wam się?

– W tej chwili nie.

– Cóż, w porządku, skoro chce pan pogrywać w ten sposób... Ale proszę posłuchać...

– Sierzancie, proszę. – Quincy uniósł rękę. – Jeżeli chce pan, żebym tańczył, jak mi pan zagra, możemy się tak bawić przez kilka następnych godzin. Ale w tej chwili pytam pana jak śledczy śledczego: gdzie jest moja żona?

– Nie wie pan?

– Słowo daję, sierzancie, że nie wiem.

Kincaid mierzyl go wzrokiem przez długą chwilę, w końcu wzruszył lekko ramionami.

– Miejscowy szeryf znalazł jej samochód tuż po drugiej nad ranem. Nigdzie jej nie ma, ani tutaj, ani w miejscu zamieszkania. Będę z panem szczery: martwi mnie to.

Zauważył, że psycholog przełknął ślinę, a potem prawie niezauważalnie się zachwiał.

– Potrzebuje pan czasu? – zapytał Kincaid ostro. – Podać panu coś?

– Nie. Ja tylko... Nie.

Quincy zrobił krok. Potem jeszcze jeden. W blasku reflektorów jego twarz wydawała się błąda. Kincaid zaczął dostrzegać szczegóły, które wcześniej mu umknęły. Sposób, w jaki elegancki płaszcz wisiał na wychudłej sylwetce psychologa. Sposób, w jaki ten człowiek się poruszał – gwałtowny, spięty. Jak ktoś, kto od wielu dni nie wysypiał się porządnie.

Były federalny całkiem nieźle odgrywał rolę zrozpaczonego męża.

– Może kawy? – zaproponował Kincaid.

– Nie. Wolałbym... Czy mogę obejrzyć samochód? Mogę pomóc stwierdzić... czy coś zginęło.

Kincaid zastanowił się nad tą prośbą.

– Może pan popatrzeć, ale niczego nie dotykać. Kryminaliści jeszcze się nie pojawili.

Zaprowadził go do porzuconej toyoty. Kiedy skończył robić zdjęcia, na których utrwałił położenie otwartych drzwi, zamknął je. Teraz otworzył je ponownie.

– Sprawdziliście otoczenie? – spytał Quincy. Był już bardziej opanowany; natura śledczego wzięła górę nad zdenerwowaniem.

– Za bardzo nie ma tu czego sprawdzać.

– A las?

– W tej chwili przeszukuje go kilku funkcjonariuszy.

– No tak, te wszystkie samochody – mruknął Quincy. Wskazał ręką schowek. – Mogę?

Kincaid przeszedł na drugą stronę samochodu i dłoń w rękawiczce otworzył schowek. Już wcześniej sprawdził jego zawartość, wiedział więc, co się w nim znajduje: kilka serwetek z McDonalda, cztery mapy i instrukcja obsługi samochodu z wetkniętym dowodem rejestracyjnym. Teraz przypatrywał się, jak Quincy dokładnie wszystko przegląda.

– Torebka? – spytał psycholog.

Detektyw sierżant posłusznie ją otworzył. Quincy zajrzał do środka.

– Jej broń – odezwał się w końcu. – Glock, kalibru czterdzieści, półautomat. Rainie na ogół trzymała go w schowku, jeżeli nie miała go przy sobie.

– Zawsze podróżowała uzbrojona?

– Zawsze.
– Gdzie pan spędził dzisiejszą noc?
– Wróciłem tuż po dziesiątej. Może pan spytać panią Thompson, właścicielkę pensjonatu. Była na dole, kiedy przyszedłem.

– Pilnuje drzwi wejściowych?
– Nie.
– Mógł więc pan wyjść później, a ona by o niczym nie wiedziała?

– Nie mam alibi, sierżancie. Mogę tylko dać moje słowo.
Kincaid zmienił taktykę.
– Czy pańska żona często wybierała się na przejażdżkę w środku nocy?

– Czasami, kiedy nie mogła spać.
– Jeździła tą drogą?
– Prowadzi na plażę. Rainie lubi słuchać w nocy szumu oceanu.

– Czy to właśnie robiła dziesiątego września, kiedy została zatrzymana za jazdę po pijanemu?

Quincy nie wyglądał na zaskoczonego tym, że Kincaid wie o jej aresztowaniu.

– Sprawdziłbym miejscowe bary – odparł po prostu.
– Czy pańska żona ma problem z piciem?
– Ją musi pan o to zapytać.
– Wygląda na to, że sprawy nie mają się za dobrze.
Nie było to pytanie i Quincy nic nie odpowiedział.
– Co znajdziemy w lesie, panie Quincy?
– Nie wiem.
– Co według pana zaszło na tej drodze w środku nocy?
– Nie wiem.
– Nie wie pan? Niech pan da spokój. Czy nie jest pan wybitnym psychologiem, znawcą ludzkiej natury?

Quincy wreszcie się uśmiechnął. Pod wpływem tego uśmiechu jego twarz przybrała bardziej ponury wyraz, niż Kincaid mógłby się spodziewać.

– Najwyraźniej, sierżancie, nigdy nie spotkał pan mojej żony – odparł psycholog cicho.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).